



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Książki gwiazdkowe dla młodzieży.

Plon nowości książkowych w tym roku jest daleko mniejszy niż w zeszłym, pomimo tego jednak, wartość przewyższa ilość, co może lepsze od dużej liczby z mniejszą wartością. Ogólnie rzecz biorąc, zadaniem wydawnictw dla młodzieży nie powinna być co rok: nowość, bo trudno co chwila o rzeczy bardzo dobre, a tylko takie powinny się dostawać w ręce młodym czytelnikom; przeważa tu obowiązek dawania prac wybitnych, a zatem każda książka, która się raz wybitnie udała, może być w wydawnictwie powtórzoną i przysłużyć się lepiej młodzieży niż nowa a mniej odpowiednia.

Do takich dzieł z roku zeszłego zaliczyć można „Dzieci Warszawy” Zofii Bukowieckiej, „Przed świtem”, Teresy Jadwigi, — „Dwaj mistrze” tejże autorki, — „Plon” Chruszczewskiej — i zawsze śliczne dla dzieci małe książeczki panny Jahołkowskiej. W tym roku mamy też parę książeczek które przetrwają sezon i zostaną stałymi przyjaciółmi młodzieży. Zaczniemy od wydawnictwa firmy K. Grendyszyńskiego w Petersburgu.

Prawdziwie dobrą książką dla starszej młodzieży są „Obrazki z życia znakomitych Polaków i Polek”, przez Teresę Jadwigę z 40 portretami. Autorka przechodzi wiek za wiekiem porządkiem historycznym, począwszy od XIV w. i wybiera najbardziej zajmujące osobistości, czy to działające na królewskich tronach, czy w cichych pracowniach wiedzy, czy na polu bitwy, czy wśród gwaru społecznego; w szkicach obrazkowych kresli ładnie i gładko ich życie i czyny,

dając szczegóły z lat ich dziecinnych. Będzie to jedna z najtrwalszych książek autorki tej bardzo pilnie pracującej na niwie literatury pedagogicznej. Wartości dodać w przyszłości do szeregu tych uczonych więcej postaci ludzi pracujących w naukach przyrodniczych literackich i ekonomicznych, a także niektóre obrazki w obecnym sezonie zawarte opracować lepiej pod względem literackim n. p. Gabryelę Żmichowską. Taki ładny obrazek, tak żywo zarysowany, a tak urwany na suchej wzmiance biograficznych paru szczegółów. Te szczegóły można było rozsiać w całości życiorysu, a koniec właśnie, jako ostatnie wrażenie dać rzewniejszy, choćby przez urywek jakiej typowej strofy Gabryeli.

Ta drobna uwaga nie ujmuje nic a nic dużej wartości książki, która i jako nowość i jako nowość piękna powinna znaleźć bardzo dobre przyjęcie u rodziców i dzieci i rozsiać się liczną „Gwiazdką” w bieżącym roku i pozostać nią nadal. Ta sama autorka dała nam i drugą książkę też w wydaniu Grendyszyńskiego, p. t. „Odnawiciel”. Dziejowe fakty, zdarzenia znane, wiele razy powtarzane w książkach dla dzieci byłyby opowiadaniem nieco monotonnym, więc wplecioną tu została historia osób drugorzędnych związanych z losami królów i wypadków tej epoki stanowiących tło, a ciekawość czytelnika zajmują koleje dwojga sierot wychowujących się na dworze Mieczysława i Ryxy, chłopca i dziewczynki, ładnie skreślone i żywo opowiedziane. Jest to także bardzo przyjemna książeczka do czytania dla młodzieży.

Pani Zuzanna Morawska, w „Królu Kurkowym” (Grendyszyński 1899 Petersburg). Opowiedziała barwnie i żywo zaburzenia wojenne w początkach panowania Zygmunta III Wazy, wzięcie Maksymiliana do niewoli pod Byczyną, intrygi Zebrzydowskiego i Dyabła Stadnickiego.

Wogóle wydawnictwa Grendyszyńskiego są bardzo staranne, papier i druk dobry, obrazki

wcale niezłe, mianowicie niejedne z owych 40 portretów w książce Teresy Jadwigi są nader udatne. Z dwóch powieści historycznych, Teresy Jadwigi (w jednym tomie, Warszawa, Gebethner i Wolff), „Kara Boża” i „Wilczek” osnutych na tle historycznym udała się szczególnie pierwsza, bardzo zajmująca; bohaterem jest słynny awanturnik z czasów Jagielly Grzegorz z Odolan a powieść snuje się około dziejów łupionej przez niego rodziny, dotykając wzruszających szczegółów z życia Królowej Jadwigi, z wojny krzyżackiej, z ogromnego pola bitwy pod Grunwaldem.

Na epoce dziejów Sobieskiego i wiedeńskiej wyprawy osnutą jest powieść znanego autora Walerego Przyborowskiego p. t. „Namioty Wezyra”. W książce tej odnajdujemy przymioty towarzyszące każdej pracy tego autora — werwę opowiadania, bardzo rzadko zjawiający się w utworach dla młodzieży a tak pożądany humor, wesołe sceny, ruch, wrzawę ludzką naturalną, dosadność wyśłowienia i wyraźne typy, występujące dobitnie na tle ogólnem. O Sobieskim pisano już wiele, a jednak ta książka czyta się ze świeżym wrażeniem, z przyjemnością, i niewątpliwie będzie się bardzo podobala małym czytelnikom. Przytem Przyborowski, dając obrazy zlego i dobrego, już nie mówi w tej, ale we wszystkich swych pracach, nie moralizuje tak na urząd swoich czytelników, nie znudzi przestrogami, daje rzecz, myśl, zasady, fakty i zostawia wykrzyk sensu i nauki czytelnikowi. Jest to droga i pedagogiczna i skuteczna mianowicie dla starszej młodzieży która powinna już mieć swoje zdanie i własną etyczną wrażliwość. „Namioty Wezyra” są ładnie ilustrowane przez J. Kossaka i K. Pułowskiego, a „Kara boża” „Wilczek” mają bardzo estetyczne obrazki zdolnego artysty J. Sawiczewskiego.

P. Marja Weryho wydała ozobną książeczkę dla małych dzieci p. t. „I ja już czytam”. Po-

chwalić trzeba na pierwszy rzut oka zewnętrzną stronę tej pracy: druk śliczny, dla dzieciennego wzroku wyborny, wyraźny, i format wygodny, gdyby jeszcze obrazki były lepsze, nie by nie było do życzenia więcej na zewnątrz. Treść wewnętrzna jest niezbyt jednostajna; między temi 50-ma powiastkami są bardzo dobre, te mianowicie które się odnoszą do świata zwierzęcego ale są i mniej udatne, mianowicie w szczegółach niektórych, trochę za szorstkie w wyrażeniach i jakby niewykończone, niedopowiedziane. Autorka tyle już pisała dla młodzieży i tak po-prawnie pod względem literackim i pod względem ducharzewczy, tutaj spieszyła się widać miejscami i dała pomysł tu i tam bardzo trafne lecz nieopracowane. Całość jednak książki jest treściwą i pożyteczną i z nowych książeczek dla małych dzieci w tym roku zdaje się jedyną.

I znów w jak roku zeszłym, pozostaje nam jeszcze jedna w końcu książka, wydana nakładem Gebethnera i Wolffa, książka o której pomówić musimy osobno, dłużej i szerzej, tej samej co i w roku zeszłym autorki, a którą dziś najgoręcej polecić musimy młodym czytelnikom sfer wszystkich, i tym którzy na gwiazdkę książki piękne dostają i tym którzy by je dostać chcieli a nie zawsze mogą i tęsknią za niemi.

Autorką jest p. Zofia Bukowiecka, a książka ma tytuł: „Młotem i Kielnią“. Choćby tylko dlatego mówić o niej będę osobno, że wraz z zeszłorocznymi „Dziećmi Warszawy“ wykuwa ona nową, nieznana dotychczas drogę w literaturze dla młodzieży: drogę powieści społecznej.

Przypomnieć tutaj jeszcze muszę, że przy szczupłej liczbie tegorocznych nowości gwiazdkowych, są bardzo przecież dobre prace z zeszłorocznego zbioru, wydawnictwa n. p. kobiecej firmy pani Lossowskiej z Dygasińskich, jak „Dwaj Mistrze“, „Wśród lodów“, „Burza“ i inne jak „Przed Świtem“ (Grendyszyński) i zawsze śliczne, zdrowe, swojskie książeczki Hofmanowej.

Szczęсна.

PRZY KOMINKU.

(POGAWĘDKA).

Ani to zima, ani to jesień—jakiś czas niezdecydowany, przejściowy, pełen melancholii i smutku. Szare, brzydkie chmury okrywają całą półkulę niebieską, kiedy niekiedy kropla deszczu upadnie, niby łza niebios, wycisnięta jakimś bólem niezmiernym. Łzy te spadają czasami w odstępach kilkuminutowych a po każdej kropli takiej mimowoli oczy ku górze podnosisz, jakbyś rzucał pytanie: dla czego płaczesz, o niebo?

Górą przelata wiatr, z drażniącym szelestem ociera się o ściany domów, dmucha w rynny, wstrzymywany przez załomy murów ze zgrzytem wydiera się z ich objęć, a wypadłszy na dachy, hula po nich z łoskotem dalekiego grzmo-tu, zajączy w przewodach kominów, jak dusza potępiona, otwory ich piersią swoją pokryje, aż dym gryzący na pokój buchnie, zwinie się kłę-bem i niby mgła rozplynie się w powietrzu.

Brrr!... zimno!

W dzień sobie jako tako dasz radę, obronisz się od smutku, od melancholii uciekniesz... Ale gdy miasto usnie, gdy pozostaniesz sam z myślami swojemi, ten szum wiatru, te jego harce po dachu, ten dym, który nagle przykrył ogni-sko i szarym kłębkim na pokój wybiegł—na-pełniają cię zabobną trwogą jakąś, która jest zabytkiem dziecięcych lat twoich, kiedy to o duchach i strachach dziwne baśnie opowiadała ci piastunka, żegnając się przy każdym silniej-szym pogwizdzie wiatru: Oto jakaś dusza ludzka niezmyła swych win życiowych i tuła się teraz po świata przestworzu; oto jakiś nieszczę-

śnik zawisł gdzieś na suchej gałęzi wierzb a dyabeł się cieszy i koziołki wywraca po da-chach.

Wiatr brzęknął w szybę... Obracasz się...

Mimo woli przychodzą ci na myśl słowa sły-szane dawniej: „A słowo stało się ciałem!“

Uśmiech wielkiego smutku poruszył twe usta, na czołe zaduma osiadła...

Może macierz, a może, w czepcu białym, wie-rząca we wszystko, babka powtarzała niegdyś te słowa... Myśl twoja odrywa się od chwil bie-żących, biegnie drogami przebytymi... w prze-szłość, i powoli, powoli zaczyna żyć życiem da-wnem, wiarą dawną, złudzeniami dawnymi. Wiatr hula i zgrzyta i grzmi—ty wdzięczny je-steś za tę pieśń wichrów, bo rozbudziły wspo-mnienia, wywołały cienie, przywiałły marzenia dawne...

Zakolatał dzwonek—ktoś wszedł...

To mój przyjaciel dawny a druch od serca. Zrzucił przesiąknięte wilgocią ubranie, potarł ręce i rzekł:

— Czy znasz ten kraj, gdzie cytryna doj-rzewa?

Zaśmiałem się.

— Głodnemu chleb na myśli, przemarznięte-mu marzy się ciepło południa.

— Nie inaczej... Psia pogoda—mówił,—ale na kominku masz ogień... Bon!

Przysunął wygodny fotel i usiadł naprzeciw ogniska.

— Co słychać?—zapytałem.

— Dyabli kontredansa z duszą tańczą po da-chach—a ty pytasz! Czy nie wychodzisz na miasto?

— Codziennie prawie.

— Dzienników nie czytasz?

— Piąte przez dziesiąte. Zresztą mogą pier-wszy lepszy numer, pierwszej lepszej gazety z roku zeszłego wydostać i podzielić się z tobą najświeższą nowiną. Nie nowego pod słońcem nie znajdziesz a cóż dopiero w dziennikarskich wiadomościach.

— A konkurs „Kuryera Warszawskiego“?

— Prawda!... Któż jest laureatem?

— Drugiego stopnia, bo pierwszej nagrody nie przyznano nikomu. Okrągła więc summa rb. 1000 pozostała dla sław niedalekiej może przyszłości. Nagrodę drugą w summie rb. 500 przyznano dramatowi p. n. „Familja“, którego autorem, jak się pokazało po otwarciu koperty jest p. Andrzej Niemojewski, z czterech pozostałych utworów konkursowych, odznaczonych przez zalecenie do przedstawienia na scenie, komitet konkursowy postawił na pierwszym miejscu: „Frazesowicza“, na drugim: „W sieci“, na trzecim: „I co teraz?“ a na czwartym: „Wąt-pliwe szczęście“. Autorami sztuk odznaczonych są: „W sieci“ Jan Kisielewski, słuchacz filozofii, z Krakowa; „I co teraz?“ Edward Grabowiecki, artysta dramatyczny z Warszawy; „Wątpliwe-go szczęścia“ Władysław Paliński także artysta dramatyczny z Warszawy. Nazwiska autora komedii, „Frazesowicz“ komitet na razie uja-wnić nie może, z powodu iż autor odebrał swój rękopis wraz z kopertą zawierającą nazwisko.

— Więć będzie ogłoszony drugi dramatyczny konkurs?

— Pewności żadnej w tem nie ma, ale—może. Czy jesteś zdecydowanym przeciwnikiem kon-kursów?

— Nie—ale radziłbym zaprowadzić zmiany pewne.

— Naprzykład?

— Skasowałbym tajemnicę nazwisk autorów; niech każdy z ubiegających się o laury, wyraź-nie nazwiska swoje na tytułowej karcie wypisze. Nie zgadzasz się?

— Oczywiście!...

— Dla czego?

— Zamknięte w kopercie nazwiska autorów, zapewniają bezstronność sędziów.

— Myślisz, że nie wiedziałem o tem. Ale cóż, gdy dziwnym zbiegiem okoliczności, zawsze przed czasem ujawnia się nazwisko autora, oczy-wiście autora mniej więcej znanego.

— Jak się to dzieje?

Niewinnym zupełnie sposobem.

Autor danego utworu, powiedział w zaufaniu przyjacielowi swojemu, że pod godłem takiego a takim posłał pracę swoją na konkurs. Tajem-nica miała być dochowana święcie, ale ktoś nie wie, że tajemnica wyszeptana na ucho ma własność rozpalonego żelaza. Posiadacz wie-jej musi się pozbyć ciężaru; w zaufaniu powin-o niej osobie trzeciej, która przede także ja-czuła na owo żelazo rozpalone. Cicho! szal ps! i w istocie, w ogromnym milczeniu, przebie-g od ucha do ucha nazwisko tego lub tego autora. Wszyscy o tem wiedzą i niby nikt nie wie. Zaś wiem o tem z doświadczenia, jako należał niejednokrotnie do sądów konkursowych. Co więc ta farsa i to torturowanie sędziowskiego sumienia?

— A wiesz, jaką ci replikę dał Prus w „Kri-nice Tygodniowej“ zbijając twoje zarzuty sta-wiane „Familji“?

— Jakżeby nie wiedział!... Można całę-numeru dziennika nie czytać, ale kroniki Prusa pominąć nie godzi się. Wiesz jak cenię tego pisarza, wiesz, że go uważam za najpierwszego z najpierwszych dziś u nas. Zwroćcie więc jego uwagi na moje zapatrywanie się na wy-wspomnianą sztukę, zaszczyt mi tylko przynos-Mimo to nie czuję się przekonany ani poko-nany. Znam chłopów i to nie z przypatry-wań się do nich z okna mojego miejskiego mieszkania, nie ze stosunków jakie łączą dziedzi-z gromadą, choć, jako dziedzic, umiałem po-zyskać miłość i zaufanie kmiecica. Ale go-do chłopskiej schroniłem się chaty, jadłem chle-b czarny z jednej z nim misy, razem z nim uderzałem w sierpy, poznałem jego ciche cno-ty i grzechy głośne, tkliwą miłość i za-wziętość zbójczą, barwy łagodne i krzyzące bez cieniów i półcieniów, bez tych przejsz-tych, jakimi się odznacza dusza cywilizowa-na. A jakkolwiek „włóścianie wsi Choszczew-pow. warszawskiego, odprowadzając do gmin-koniokrada Herę, tak go zbili, że wyzionął do-cha...“ jakkolwiek „we wsi Łęcznowola, po-wiatu łukowskiego, syn, pospołu z żoną, cho-cież pozbyć się ojca i zawładnąć jego majątkiem, z-bił go“ jakkolwiek do tej wiazanki sam kwia-tów podobnych drugie tyle mógłbym dołączyć chcąc jednak być sprawiedliwym musiałby spojrzeć i na odwrotną stronę medalu i powie-dzieć o faktach mi znanych a nieco inne barwy. I oto była sobie chłopka Pałoszka, która wypiastrowała niżej podpisanego. Młodzi, wówczas panice, chcieli wynagrodzić długoletnią służbę Pałoszki starej, ale wychodząc z bicykiem, le-dwie 25 rb. (cały swój majątek—bez przesady mogli zebrać na podarunek dla niani. A stała się uśmiechnęła się przez łzy i do 25 rb. dodając ty-leż z oszczędności swoich, rzekła: „Przez lat ty-mieszkałam u was, chleb wasz jadłam i dobrze było mi z wami. Dziś jestem bogatsza od was bo mam syna, który mnie do siebie weźmie a was nikt nie przytuli. Ciężka praca was czeka a może chłód, a może głód. Zbierałam ta-grosz na trumnę dla siebie i na podzwonne dla diaka i na stypę dla dziadów, którzy poszepa-liby pacierz nad moją mogiłą... weźcie go teraz dla siebie na—życie. A nie krzywdźcie mnie darem waszym. A czy nie znany jest wypadek z pewnym magnatem, który nocą, podzas-zawiei śnieżnej, jednokonką powracał do do-mu i został obkoczony przez rój wilków. Ratunku nie było—zwierzęta wskakiwały na sianie. A wtedy chłop oddał lejca do rąk pan-skich i rzekł: „Dobrym byłeś panem—Gróma-da nazywa cię ojcem swoim. — Pamiętaj o mnie i o dzieciach moich.“ — To rzekłszy rzucił się między wilki — i książę S. ocalał... Niedaw-no wypadki, a mógłbym znacznie więcej wyli-czyć, lecz i one coś mówią o tych grubych chłop-skich nerwach... A zatem powtarzam raz jesz-cze: ludu krzywdzić nie wolno. — Nie przeczę że są czyny zbrodnicze, występki wołające o pomstę do Boga — ale zająć się niemi jest rzec-zą sądów kryminalnych nie — dramatu. — Ka-żde dzieło sztuki musi nam dać pewien odłam społeczeństwa, a w każdym odłamie takim jest złoto i błoto. Czy to sięgniemy do życia towa-rzyskiego, czy szersze granice uwadze naszej

nakreśliły — w splątanych paśmie stosunków ludzkich jest zawsze jakoś nie jasna, która nas godzi z tym, nie najlepszym ze światów, światem. Nie przez różowe szkła na chłopca patrzę, ale spotkałem się z nim oko w oko w złej i dobrej a wspólnej doli.

Nie jest to sprzeczka z szanownym kronikarzem „Kurjera Codziennego“ — wymiana tylko zdań i przytoczenie parę faktów dodatkowych, jako odpowiedź na ujemne. Najpotworniejsze zbrodnie mogą być piórem uwiecznione, lecz rozkład światła i cienia zależy od pisarza, harmonia musi być we wszystkim, ażeby nie sprawiło przykrego rozdzwiku. Krwawa lady Makbet nie wywoływałaby uczuć tragicznych, gdyby czyn zbrodniczy i o jej niepotrafił sumienie, które wypłynęło w słowach:

„Wszystkie wonie Arabii nie odejmą tego zapachu krwi z tej ręki malej!“

A Makbet, zabijający... sen!

Byli to ludzie przyzwyczajeni więcej do zbrodni i krwi, niż chłopci dzisiejsi; w rzeczywistości nie czuliby może tych zgryzot sumienia, ale Will stary wiedział, co życiu a co sztuce się należy.

— Czy znasz Andrzeja Niemojewskiego?

— Znam dobrze i cenę jego wielki talent, dotąd, jako poety. Ale nie będę złym prorokiem, jeżeli powiem, iż da nam jeszcze dramat pierwszorzędnej wartości.

Rozmawialiśmy długo na ten temat i doszliśmy do przekonania, że nie masz przedmiotu, którego by dotknąć nie mogła ręka pisarza, tylko, że jest pewna różnica pomiędzy życiem a sztuką, że ta druga wymaga właściwego sobie oświetlenia i choćby była najwłaściwszym odbiciem życia, poeta kieruje w niej tem życiem, poprawia je, ugrupowuje wypadki, które przeniesione *z życia* z natury, byłyby jakąś bezładną mieszaniną, jakąś, mało interesującą nas, tragiczną komedią. Dany osobnik może przechodzić koło nowobudującej się kamienicy i zostać zabity cegłą spadającą, ale niechże w ten sposób bohater sztuki kończy — uczujemy niesmak, choć na podobne wypadki codziennie niemal patrzymy.

— A czy inaczej kończy Cyrano de Bergerac?...

— Wiedziałem, że rzucisz mi to pytanie... Ale — po pierwsze, nie jest to *wypadek* — bo bohater Rostanda zabiła ręka mściwa; po wtóre: w tem zakończeniu, leży tragizm ogromny, ironią losu. Zawadyaka jakim był Cyrano, marzył o śmierci bohaterskiej na polu walki — tym czasem ginie od kłody drzewa. Ten rozwiew marzeń, ta nicosć pragnień jest, w chwili danej, tragizmem największym.

Zdaje się, żeśmy już wyczerpali nasz przedmiot, o ile go wyczerpać było można w tej do rywekiej pogawędce przy kominku; przejdźmy teraz do spraw bieżących, mogących zainteresować ogół szerszy. Ty, mój przyjacielu, od rana do wieczora niemal po mieście się szwędasz, żądam od ciebie zasiłku do kroniki mojej, bo przeżrała mnie pustka zebranych wiadomości, a lękam się ustek kobiecych niechętnego skrzywienia.

— Chcesz dogodzić niewiastom?

— To moje zadanie.

— Zaczynaj więc o strojach...

— Przepraszam!... Nie jestem w tem praktyk, a powtóre, kto inny dział ten w tem piśmie prowadzi. Zresztą nie myśl sobie, ażeby dzisiejsze kobiety nasze, niczem innem, jak tylko strojami zaprzętały sobie głowy. Mogłbym coś wspomnieć o rozpoczętej sprzedaży w sklepach i magazynach na dochód kolonij letnich, o tym celu pięknym, któremu niewiasty się nasze oddają, ale mogę tylko skończyć na wzmiance przelotnej, bo mieszkanki prowincyj, dalekich nieraz, nie biorące w tym ruchu pań miejscowych udziału, niewiele zainteresowane tą wiadomością zostaną. Wolę tedy poświęcić słów parę wydawnictwom książkowym i zachęcić czytający ogół do zaopatrzenia się w bardzo pożyteczną książkę, jaką jest „Dzieje Polski“ Tatomira, wydane nakładem księgarni Teodora Paprockiego.

Autor „Dziejów“ odrzucił wszystko to, co jest niepotrzebnym balastem dla przeciętnego czytelnika, chcącego się obeznać z historią swojego

kraju; nie obciąża jego umysłu drobiazgami wypadków, lecz rzuca jasne światło na dzieje, które traktuje z miłością.

Drugim wydawnictwem bardzo pięknym jest „Album Henryka Sienkiewicza“, wydany w Łodzi. Zeszyt, który mamy przed sobą, zatytułowany „Quo vadis“, składa się z czternastu ilustracji, przedstawiających główne epizody z tego arcydzieła Sienkiewiczowskiego. Ilustracje wykonane zostały przez: Howarda Pyle'a, Edmunda H. Garvett'a, Ewerta van Mayden'a i Leona Benonville'a. Wykonane na pięknym papierze, stanowią prawdziwą ozdobę salonu i warto je zalecić uwadze czytelniczek naszych.

Powoli, nie tak szybko, jakby tego wydawcy pragnęli i jak głosili o tem, posuwa się naprzód wydawnictwo „Albumu biograficznego zasłużonych Polaków i Polek“. Dzieło to wymaga ogromnej pracy i kosztów niemałych. Zeszyt piąty tego wspaniałego wydawnictwa zawiera życiorysy i podobizny: 1) Chłopickiego generała, 2) Staszycę, 3) Władysława Oleszczyńskiego, 4) generała Dwernickiego, 5) z Tańskich Hofmanowej, 6) Poczubę, 7) Franciszka Armińskiego i 8) Michała Płockiego.

Z powodu niezależnych ode mnie przyczyn, minął tydzień jeden, w którym nie zasiadałem przy kominku do zwykłej pogadanki z wami, łaskawe czytelniczki i dla tego tylko opóźniam się ze wspomnieniem o ś. p. Aleksandrze Rakiewiczowej, zmarłej w dniu 25 Listopada.

Ś. p. Rakiewiczowa od wielu lat była ozdobą naszej sceny, a była to artystka z „łaski bożej“ kochająca sztukę dla sztuki, współczesniczka Żółkowskiego, Królikowskiego, Rychtera i Modrzejewskiej, tych pierwszorzędnych gwiazd naszego teatru. Jej to scena nasza zawdzięczała swojego czasu najświetniejsze kreacje, jak: Elektrę, Fedrę, Hekubę, Joannę d'Arc, Balladynę, Lady Makbet, Elżbietę, Ifigenię i Adelajdę. W ostatnich czasach przypominała się publiczności w roli Gigzy z „Almanzora“ Glińskiego i ks. Renaty z „Taborytów“ Kozłowskiego. Rakiewiczowa, okrom gry wspaniałej, umiała jeszcze — mówić. Wspaniała dykcyą swoją podbijała słuchaczy, przejmowała grozą albo do łez wzruszała. Umarła, jak żołnierz na stanowisku, bo — występując w roli ks. Renaty. Niezliczony tłum odprowadził jej zwłoki na cmentarz Powązkowski, moc wieńców spoczęła na jej trumnie, a żal szczerzy towarzyszył żałobnemu pochodowi na miejsce wiecznego spoczynku.

Zaledwie pożegnaliśmy ś. p. Aleksandrę, jak znów się dzwon pogrzebowy odezwał, zwiastując śmierć wdowy po dużej miary poecie naszym Romanie Zmorskim. Była to wielkich zalet kobieta, a wierna małżonka tułaczego żywota poety. Duch niespokojny gnał go po różnych kątach świata i ona mu towarzyszyła w tem życiu niespokojnem, osładzając każdą chwilę gorzką. Długie lata, cicha i nieznana, mieszkała w Warszawie, dopiero śmierć przypominała o niej i nie jeden, rzucając garść ziemi na jej mogiłę, szepnął:

„Oby ci choć teraz lekka była!“

??

Z jesiennych wrażeń.

Zal nie jedno serce trawi
Po gasnącem lecie...

Coraz smutniej łzawiej
Na tym Bożym świecie.

Podśluchałem dziś ze łzami
Ptasząt pieśń tułaczą..

Liści tumanami
Gorzko drzewa płaczą.

Po zczerniałych traw kobiercu
Wiatr liśćmi miota —

Pusto w myśli... w sercu...
Toczy je tęsknota.

Żal nie jedno serce krwawi
Po gasnącem lecie...

Coraz smutniej, łzawiej
Na tym Bożym świecie.

Lubię jesienną, przedwieczorną chwilę,
Co pali duszę pieśnią dni minionych...
Gdy w myśli pragnień zmartwychwstaje tyle
Niezrozumianych, niezaspokojonych...
Kiedy wietrzyka powiew chłodny, cichy
Ostatnich kwiatów warzy już kielichy,
Z pożółkłych drzewin zeschłe liście strąca,
Co w zórz zachodnich blasku się rumienia —
— I kiedy dusza zapłaczę marząca
Jesienią.

Władysław Nawrocki.

BIAŁA BASZTA

NOWELLA

przez

SZCZĘŚNA.

(Dalszy ciąg).

II.

Poznała wkrótce niewielka załoga zameczku, że to nie białogłowskie były rządy tej miłościwej pani. Dwudziestu pachotków, pięciu łuczniczków, Seibor, Mściśław i kilka kobiet czuło silną rękę, a choć dobroć była z cudnego lica Małgorzaty, umiała stać się tak nieprzystępną, a tak w rozkazach doraźną, że nawet mrukliwy Seibor dziwił się tej krasawicy, zakutej w zbroję. Nigdy bowiem inaczej nie pokazywała się oczom żołnierzy, jeno w łusce drucianej na piersiach, w hełmie nakrywającym jej bogate splety, z rozkazem na ustach. Po trochu nawet, z cicha, szemrać zaczęli, że pani na stopie wojennej zameczek trzyma, że wszystko ruszać się musi, czuwać, pilnować, jak czasu obłożenia, ale w końcu wprawiono się do pracy i wola pani spełniała się dokładnie. Forteczka wypiękniała, ani jednej szczerby nie było w murach, mosty, bramy, okiennice, schody, ganki naprawiono, broń w dużej liczbie napełniła lochy, żołnierze mieli porządne odzienie, konie pozmieniano na lepsze, Małgosia udziernęła sama piękny sztandar, z Krakowa sprowadziła połączoną strzałę na szczyt baszty, i z zadowoleniem widziała, że siedziba odmłodziła w jej rękach, wzmocniła się, a ludzie byli radzi, gdy w okolicy chwalić zaczęto piękny zameczek i rozpytywać ich o dzielną panią. Niejeden chciał się tam dostać na służbę, ale pani była ostrożna w przyjmowaniu obcych i nieznanych. Na zewnątrz zawsze pogodna i stanowcza, miewała jednak ciężkie godziny w samotnej swej komnacie basztowej, gdy zrzuciwszy zbroję, czesząc włosy długie, czuła jak jej dusza się męczy, sztywnieje, tęskni do swobody, do wesela, do praw swojej młodości...

W jesieni, gdy gromadzenie żywności dla druzyny, ciepłego odzienia, zboża, siana, sporo zajęło czasu i dawało przyjemne zatrudnienie, tęsknota mniej jej dokuczała, ale gdy zima rozślała swe śniegi dokoła, gdy wichry gwizdały

i jęczyły zaczęły po kominach i sieniach, gdy przyszły nieskończenie długie wieczory i snuć się zaczęły długie, smutne myśli wpatrzonej w ogień kobiecie... uczuła, że tęsknota to też rodzaj nieszczęścia, dokuczliwe cierpienie, które jak włosienica drażni jej duszę pod świetną szatą pozornego spokoju, w jaki się stroiła do ludzi. Dręcząca smętność podminowywała jej duszę... Tak nieprzyjacieli, gdy szturmem twierdzy dostać nie zdoła, podkopyje się pod mury i skrytą robotą osłabia gmach od podstawy. Na tle tęsknoty zaczęły ponure myśli napadać Małgorzatę. Pomna jednak na mężowską przestrożę, broń im się i wynalazła sposób rozweselenia swej samotności. Sprowadziła sobie na całą zimę dwie swoje siostry, które jako dwa swawolne, jaskrawe motyle trzepotać się zaczęły po zameczku, napełniając komnaty, sienie, nawet dziedziniec swym młodym, świeżym śmiechem, rozpowiadając siostrze swe przygody, swe marzenia, swe u krewnych zabawy, dając jej przytem sporo kłopotu, bo zalotne i zaczepne, strzelały wzrokiem do załogi, która śmieje na nie patrzyła, niż na miłościwą panią. Wikta i Hanka podobne do siebie, różowe dziewczyny, wystrojone od rana, wylatały na mróz, bawiły się śniegiem, dosiadały koni, przekomarzały się ze Sciborem, który je szarańczą pokryjomu nazywał, śmiały się poufale z Mściśławem, który, wielbiciel niewiast, spełniał rącho ich zachcianki.

Musiła je nieraz strofować Małgorzata za zbytnią wesołość i swawolę, niewiele to jednak pomagało, bo dziewczki nie dorastały rycerskich pojęć i zwyczajów siostry, a przebywając wiele na łonie bardzo zamożnej, lecz kmiećcei rodziny ich matki, przywykły do swobodnego, niemal ludowego życia, które ich usposobieniem żywym i namiętnym dogadzało. Trafiali się teraz goście, niby wabieni urodą dziewcząt, a w skrytości ciekawi więcej rządów i oblicza samej pani. Nie rada była Małgorzata tym odwiedzinom, i gdy wiosna nastała, wołała się z siostrami wybierać sama do krewnych, niż gawiedź wpuszczać do domu. Sama też, wysiedziawszy się całą zimę w posępnych murach, z rozkoszą oddychała wonnem powietrzem kwietniowem wśród szerokich błoni, pięknych lasów i wzgórz okolicy, a lubiła też, gdy w pięknym, pół rycerskim stroju przejeżdżała przez sioła lub z siostrami odwiedzała domostwa krewnych, dziwowali jej się ludzie, z uszanowaniem ustępując jej z drogi i nie śmiejąc być z nią jak z innemi niewiastami, które też same, bez mężów w owym czasie zostały. Brak szczęścia zastępowała sobie wyobraźnią, dumą, statkiem, a jednak niekiedy tęskniła do zrzucenia tej ciężkiej zbroi z siebie, do wesołego oddania się przyrodzie, życiu, weselu. Uprosiły ją też raz siostry, aby pojechać na święto Kupali, które obchodzono już tylko jako zabawę ludową, ale z całym jeszcze słowiańskim przepychem w ogniach, pieśniach, wróżbach, obrzędach. Wahała się Małgorzata, przystała w końcu, bo Wikta i Hanka płakały rzewnymi łzami, aby je wziąć. I rzeczywiście, gdy wieczór nadszedł, gdy zapłonęły stopy smolne na wzgórzach, rzucając ogniste łuny na strop niebios, gdy roje dziewcząt w ludowych strojach jak boginki urocze zawiodło taniec ochoczy i pieśń buchnęła z ust młodych, gdy na rzęce popłynęły wianki ze świeczkami, a chłopcy uganiać się za niemi zaczęli na drobnych łódkach i chwytając kwiecie i szukać dziewczyny, która je rzuciła, gdy rozbijał się ten tłum barwny, swobodny, pod ciepłym tchnieniem czerwcowej nocy pełnej zapachów miodu i róż polnych, gdy zwycięzko zakrzyknął tu i tam kmieć młody, odnalazszy swoją lubą, która mu się rozkosznie śmiała w uścisku, gdy wspaniała, pełną życia, prostoty i zdrowego szczęścia falą uderzył ten świat ludzi o duszę Małgorzaty — wytrzymała nie mogła, zdjęła hełmik swój złoty, bo jej głowa pałała i oczy zachwycone utopiła z radością w tym obrazie ruchliwym, wśród którego ona sama jedna stała spokojna, uzbrojona, odosobniona swym dziwnym losem. Gdyby nie ten los i onaby wianek puszczała, i znalazłby się ktoś rączy i rozmiłowany, któryby za nim gonił, potem za nią, potem... Wzdrygnęła się naraz, bo uczuła wle-

pione w siebie ogniste spojrzenie jednego ze sług swoich... Mściśław złotą brodę skubał, a oczyma chciwemi oceniał całą piękność odsłoniętej głowy Małgorzaty. Zdziwiła się pani... a po chwili niby nieznacznie hełmem ścisnęła znów czoło i patrzyła dalej na toczącą się zabawę. Na polance buchał wesoły ogień, kręcili się w koło chłopcy rzeźwe, pospiewując, grożąc dziewczętom. Nagle usłyszała Małgorzata krzyk Wikty, piękny kmieć, unosząc ją w objęciach, przesadził jeleniem skokiem ognisko, a będąc z drugiej strony, dziewczkę na ziemi postawił, oczy w jej oczach zanurzył i ślicznie jej usta całował... Gromada przyklasnęła wyborowi i zwycięzcy.

— Wikta! — rozległ się ponad wszystkiemi głos Małgorzaty. Oburzona i zdumiona, zmarszczyła dumne brwi, siostra była z nią, na jej opiece!

— Co to takiego? — krzyknęła gniewnie.

— Dawne zwyczaje słowiańskie, gminne, — objaśniał ją stary kmieć, — odwykliście, miłościwa pani, na zameczku od życia tu naszego... swobodnego... oj, gnioła je i tak z góry... nowe rzeczy... nowi ludzie... stany...

Tymczasem Wikta przybiegła zdyszana do siostry, na piersi jej padła i szeptała zaploniona:

— Małgosiu... to on... to mój... dawno mi groził, że na Kupalę koniec będzie... miłujemy się...

— Miłujemy się! — potwierdził przystojny chłopak, — dajcie nam razem żyć! dobrze jej będzie.

Nie było rady innej, jak przystać na wesele w jesieni; kmieć był porządny, dobytek miał, piękne domostwo, trzody i chwalił go ludzie. Wikta została już z jego rodziną, Małgorzata z Kupali powracała już tylko z Hanką, która hardziej od siostry, mierzyła nieco wyżej swój los ponad słomianą strzechę rolnika.

Była już jesień, piękna jak rok temu... rok właśnie minął jak Mikołaj odjechał. Po weselu Wikty, na którym znów bujne życie rodzinne, szczęście i miłość uderzyły silnem wrażeniem o serce Małgorzaty, nudzić się zaczęła pięknej Hance na zameczku, prowadzonym karnie jak klasztor. Nie miała komu szalonych swych myśli i rojeń opowiadać, niewolno jej było samej nigdzie się ruszyć, więc wyprosiła się i frunęła do mężnej siostry na wiejską swobodę. Małgorzata została się sama. Tęsknota za mężem przeistaczać się zaczęła w pragnienie mienia go przy sobie, patrzenia w jego oczy, słuchania jego głosu... przypominała sobie jego wzrok, jakim na nią patrzył, jego tkliwe słowa, jego rycerską czujność w obec niej, jego ostrożne pieczęty, jego wreszcie zaufanie i wiarę, jaką w niej pokładał. Trudno samej żyć... do nikogo poufale nie rzec słowa... nie mieć się komu zwierzyć... nie mieć z kim pogwarzyć... Rok przeszedł, ale dalej... pókiż... posła dotychczas nie było... może co się stało... może... myśli urywały się nagle...

Zimą już tajała, jaskółki do gniazd wróciły, okrażając z świegotem wieżycę zameczku, gdy raz wczesnym rankiem zakolatan do drzwi basztowej komnaty.

— Kto tam?

Wszedł Mściśław.

— Posła mamy! — rzekł w poufalej formie.

— Mamy? posel jest do mnie! gdzież on?

— Czeka na dole... z waszą miłością widzieć się chce.

Śpiesznie zeszła do sieni Małgorzata, niestary wojak siedział na ławie, a dzban przy nim stał miodu... Zdziwiła się pani, że traktowano gościa, nim z nią się zobaczył. Żołnierz się zerwał i zmieszał mocno widokiem niewiasty.

— Dawno jesteś w zamku? — spytała od razu.

— W nocym przybył.

Pani zsunęła czarne brwi.

— Dla czego nie otrąbiono? dla czego ja wiem o tym człowieku dopiero teraz? Mściśław! co to jest?

Sługa zapłonął w oczach gniewem, ale się pohamował.

— Nie chcieliśmy waszej miłości budzić...

— Scibor też do tej mądrej rady należał?

— Miłościwa pani wie, — rzekł zapytany — że ja lochów pilnuję, on ma w opiece wały i bramę... o przybychu nie wiedziałem.

— Od dziś się zamienicie.... Mściśław do lochów, Scibor na wały... a do mnie też z wieściami ty sam Sciborze!

Słudzy zamienili nienawistne spojrzenia, pani zwróciła się do wojska.

— Kto cię przysłał?

Podróżny wyjął długie zawinięcie, krajki odmotął... miecz błysnął... ach, dobrze znany... klejnot rodzinny... prosty lecz tęgi miecz z czasów wielkiego Bolesława... Jęknęła Małgorzata boleśnie...

— Mój ojciec...

— Chwalebną poległ śmiercią w obronie króla... oręż córce wręczyć rozkazał...

— W porę przybywasz... ty ostrze niemyślnie przydasz mi się... — rzekła niewiasta z dumnym smutkiem.

— Scibor! nie łzami czcić będziem pamięć wielkiego rycerza — w tarany uderzyć... wywieść chorągiew... jego duch nad nami jest... powitać go trzeba jak mu przynależy...

Wyległa załoga, powietrze rozdarł huk ogromny... Małgorzata podniosła ojcowski miecz, jakby się jego błyskiem zasłonić chciała przed podziemnym gromem, który odczuwała że kędyś nurtuje...

— Masz więcej wieści dla mnie? — rzekła trochę niecierpliwie do żołnierza.

— Nic więcej... — wybkąknął spuścił oczy człowiek.

— Kłamiesz! — krzyknęła wyniosłe — mów! tym miodem nie zalano ci jeszcze pamięci do szczeru... mów! bo jak zdrając cię ukarzę!

Scibor z zachwytem patrzył w panią, która tyle w pięknej swej głowie miała przenikliwości. Mściśław zuchwale rozparł się pod ścianą i wpił oczy w człowieka.

— Pan mój i mąż gdzie jest teraz?

— Był razem z tamtym... ranny też był...

— Dalej! — rzekła Małgorzata, ostrze miecza zwracając ku mówiącemu.

— Zdrow już... pozdrawia was... miłościwa...

— Co więcej?

— Już rzekłem wszystko.

— Kiedy król wraca?

— Nie wiem.

— Czy idziesz z powrotem do hufców?

— Nie.

— Więc zamek mój opuść natychmiast... Scibor, opatrz go na drogę, aby mu nie brakło niczego do stolicy.

— Pozwólcie, pani, zostać dzień... odpocząć — krzywił się człowiek i lyskał okiem ku Mściśławowi.

— Ani chwili! — most spuszczoney.

Małgorzata czuła jakiś spisek w powietrzu i przeciąć go chciała przy korzeniu. Człowiek do hufców nie wracał... to dobrze... to znaczy, że może hufce wracają?... jakżeby Mikołaj nie pragnął wieści z powrotem wysłańca? więc sam może... Zakolęto serce w jej piersiach...

Ale minęło lato znów i jesień... nie się nie zmieniło... jeno służba niespokojną się stawała... niezadowolona to z jadła, to z odzieży, to z pracy... dziękowali prości pachołkowie za służbę, a przebywszy kędyś miesiące parę, wracali, wprasząc się napowrót na zamkowy chleb, a coraz im gorzej z oczu patrzyło... Jakieś szepty, jakieś palenie nocą po izbach, rozmowy i krzyki nawet... Mściśław kręcił się koło swej służby niby spokojny i karny, więcej niż dawniej przed panią uniżony, a jednak wychodził bez opowiedzenia z zameczku, jacyś ludzie go odprowadzali z powrotem i coś się działo, ruszało, czego Małgorzata zrozumieć nie mogła. Nareszcie raz gdy Mściśław na nocnie wrócił, a hałas w noc późną rozlegały się po dziedzińcu wewnętrznym, wzięła niewiasta zbroję na siebie i wyszła z komnat nieustraszona, uniesiona gniewem... Na wałach znalazła Scibora przy warcie, zawsze czujnego, skupionego w sobie...

— Miłościwa pani? — zapytał zdziwiony.

— Powiedz mi, czy ty czujesz, Sciborze, że się tu coś w zamku bezie mnie, poza mną, pode mną dzieje? co?

— Lepiejby nieprzyjacieli napadł wprost, toby go się odepchnęło... ale zamek ten w innem oblężeniu... złe myśli, złe chęci pełzną przez mury do

środku, tam w lochu knujesz się coś... pacholkiwie słuchać nie chcą łuczników, łucznicy za pana brata Mściśławem, Mściśław nie opowiada się mnie, jeno przez mury skacze i jak kot pokryjomu wraca...

— A ty, Ściborze, nie opowiadasz się z tego mnie!

— Pani miłościwa!

— Nie, jam dziś żelazną panią i nie dam przed sobą zamykać tajemnic naszej siedziby. Jak Bóg na niebie, dziś się to skończy! Do lochów za mną idź!

— Ostrożnie... pani!

— Jak to, czy tam niebezpiecznie dla mnie gdzie mój pan i mąż broń ku mojej złożył obrońcie! Tak będzie! Czy i ty się buntujesz przeciw rządcom moim?

Ścibor przykleknął rozradowany stanowczością kobiety:

— Bodajbym w ziemię zapadł, jeśli co mam przeciw waszym rozkazom, jak pana słucham was... bo mocny a jasny mieszka w was duch... Ale posłuchajcie mnie, miłościwa... coś się dzieje tam, po siołach, po dworzyszczach... rycerze z wojny nie wracają... król daleko... tu i tam krzywda dzieje się gminowi... więc mrucają... a życie idzie... używać się chce... kobiety nudzą się bez mężów... wieścichodzą, że tam w obczyźnie pomordowali wielu na leżach... kto wie kto wróci... nie jedna za mąż idzie... za blizkiego... za sługę... ucisk różny się sprzykrzył... przypomina się dawna swoboda plemienna... rozluźnił się porządek... rozpuściły się gminy, rozruchwały... dawne bogiim się przypominają... a ruch ten idzie krajem... wabi ludzi... łatwy zysk, łatwa zdobycz... jeśli wojska nie wrócą niebawem... strach, co być może...

— Więc podwoić karność wypada! pozbyć się z twierdzy zuchwalców... mniejszą drużynę łacniej utrzymać...

— Tak... ale gdy śmiałki mścić się zechcą...

— Pójdźmy, słyszysz te krzyki? nie zniosę tego!

Rączym krokiem posunęła się odważna niewiasta ku zbrojowni i izbom żołnierzy. Nie spodziewano się jej tam. Klasnęła w dłonie. Wy-skoczyli łucznicy bez broni przy sobie, zmieszani mocno.

— Mściśław!

— Nie masz go...

— Gdzie jest? Nie przy lochach? nie na służbie! w tej godzinie? Więc koniec służbom jego u nas! słyszyście? A wy czemu nie w wieżycy? czy myślicie, iż nie wiem, co wami miota! Jutro wybrażuję załogę i co zepsute, to wyrzucim precz! Dość znajdę ludzi rycerskich, aby w zły czas bronili murów w wierności panu i mnie i nie ulegali zarazie, która was poniża w mych oczach.

Kilkunastu prostych żołnierzy do nóg jej padło:

— My zawsze wierni byli... zostaw nas, miłościwa pani.

— Jutro obaczę.

Ruszyła z powrotem, Ścibor został z nimi dokończyć pańskiej nagany. Małgorzata wróciła na wały... czoło jej płonęło uniesieniem, na chłodnym wietrze chciała przyjść do siebie... myślą łączyła słowa Ścibora z stanem swego otoczenia... zgroza ją przeszła... niepokój... przeczucia... księżyc się schował za chmury... gwizdnął wicher po rogach wieżyc... dreszcz ją przeszedł... przystanąła... coś się ruszyło w fosie, czy w murów zagięciu...

— Małgorzato... — szepnął głos namiętny tuż nad jej uchem i obie jej ręce ujął jak w kleszcze ogromny człowiek... Nie poznała go, głos był tak błagalny, cichy, rozmarzony, jakiego nigdy w życiu nie słyszała.

— Kto to?—krzyknęła głośno.

— Małgorzato... krasawico moja... zabij mnie, com ja winien! Kędy ty przejdiesz — ludzie za serce się chwytają... czarowna moc bije od ciebie... com ja winien!... jam nie pies, żebym jeno wiernym ci był, jeno człowiek i miłuję ciebie... ze mną pójdź... tam lepszy świat za murami... swoboda... miłość... pieczęta... ty nie wiesz co to szczęście... ja ci go dam... dam...

— Precz, niewierny sługo! zuchwały zdrajco! precz! — i jednym nadludzkim prawie ruchem odepchnawszy jego ramiona, zatrąbiła w swój róg bawoli na alarm. W mgnieniu oka Ścibor był przy niej i czterej łucznicy. Mściśław ręce na piersiach skrzyżował i śmiał się wściekły i drżący.

— Nie chcę tego człowieka tu widzieć więcej! zdrajca jest! za mury!

Dwaj łucznicy skoczyli ku niemu, ale gdy zgrzytnął białymi zębami, cofnęli się wstecz. Wtedy stary Ścibor gwałtownie za pierś go ujął żelazną ręką i pchnął po wałach w dół. Zsunął się, lecz wnet powstał na nogi.

— Do widzenia krasawico!—ryknął—krwawe ja ci przysięgam i z wami się kędyś spotkam, żołnierzyki niewieście, ha ha!

Dwóch łuczników poskoczyło za nim.

— My z tobą!

— Dobrze! — rzekł Ścibor—nie trzeba ich będzie jutro karać. Miłościwa pani, wejdźcie do zamku, dość dla was dzisiaj tych nowin.

— Dziękuję wam — rzekła — mam przecie jeszcze obrońców. I znikła w sieni zamkowej.

Dni kilka nie widziano pani... zamknęła się i przetrwała w sobie przebyte doświadczenie... Dawniej już widziała zuchwałę oczy Mściśława, na weselu Wikty służył, nie odstępował, opiekował się nią do uprzykrzenia, aż go przodem do zamku odesłać musiała, a gdy po rozkazy przychodził, dotykał wzrokiem palącym jej licę, oczu, ust, słuchając niby w mileczeniu woli pańskiej... wzdygała się na jego zuchwałstwo i płakała z oburzenia, żalu i tajonej na samą siebie złości, że ten złotobrody Mściśław mógł do niej mówić głosem, jakiego nie słyszała nawet w piersiach męża swego, głosem, który jej zdradzał światy całe uniesień, rozkoszy i szczęścia, o jakim, mówił, że nawet nie wiedziała... i że ten głos śmiałego, zbuntowanego sługi mógł zostać w jej pamięci jako pokusa. I musiała przyznać przed sobą sama, że ten wspaniały, ogromny, zuchwały i mściwy człowiek większą mógł być pokusą, niż ów dawny Zdenko... Złamaną się czuła i beznamiętnie smutną, samotną; i ona, zwykle tak nad wzruszeniami panująca, gdy raz Ścibor starą głowę wsunął do komnaty i spytał troskliwie:

— Pani miłościwa możeby czego chciała...

— Chcę, żeby mąż mój wrócił!—załkała boleśnie.

— W Bogu nadzieja — rzekł stary — tymczasem zdrowia tracić nie trzeba, bo kto zameczku obroni?

— Broniliście zameczku bezie mnie... a bez pana mego... trudno mi już... i życie niemiłe... i niebezpieczne.

— Nie dacie się, pani, nie! ojcowski miecz przy was.

Było już dobrze z południa w piękny dzień majowy, gdy otrąbiono na wałach; Ścibor wpadł z wesołą twarzą na schody basztowej komnaty i wołał do góry radośnie, co mu się rzadko zdarzało:

— Pani miłościwa! goście! goście!

Małgorzata zbiegła do sieni i ku wielkiej swojej uciechy ujrzała siostrę Wiknę, która rzuciła się ku niej z uściskiem.

— Małgosiu, ja nie sama! przywiozłam ci pokazać moje dzieci! zamurowałaś się w zameczku, wyjść nie chcesz, jak do mniszki klasztornej przyjść trzeba. Patrząże na moje skarby!

W dużym koszu siedziało dwoje małych półrocznych dzieci.

— Widzisz! to moje bliźnięta! chłopaki oba! Lelum—Polelum!—śmiała się szczęśliwa matka.

— Co za śliczne maleństwa!—krzyknęła Małgorzata i wzięła jedno na rękę, Wikta drugie i tak poszły do komnat niewieścich. Tam, na szerokiemi łóżu posadziły chłopczków, a same klęcząc na ziemi, zaczęły się bawić niemi i gwarzyć.

— Jacy podobni! Wikta! patrz, ten ma oczy twoje, ten zaś trochę odmiennie...

— Ten ma oczy całkiem ojca swego!—poprawiła matka.

— Wiesz Wikta, że nigdy nie widziałam jeszcze takich małych dzieci... jakie to miłe... słodkie... różowe!

— Ba, niech krzyczeć zaczął!

— Bardzo krzyczą? cóż robisz wtedy?

— Karmię je, bo to jeno na głód krzyczy taki żarłok mały.

— Wystarczysz-że ty im? dwóch na ciebie jedną!

— Oh! czemu nie! zdrowam taka!

— Wyglądasz jak róża...

— Bom szczęśliwa... — rzekła Wikta nieuważnie—oh! jaka szczęśliwa!—i głowę wtuliła między dwa różowe, miękkie ciała dzieci; one rączką zanurzyły w jej bujnych, złotych włosach, ona się śmiała, grożąc im pieczętliwie:

— No! hultaje! pusćcie! z wieży was pozrzucam, Ściborowi na noc oddam, pusćcie słodkie lotrzyki!

Małgorzatę ogarnęło niewysłowione uczucie rozrzewnienia... położyła też głowę na nóżce jednego z chłopców i całowała ją namiętnie... ach, tak potrzebowała pieczęty, pocałunków, przygarńnięcia się do kogoś, lub kogoś do siebie. Dzieci ciekawie dotykały czarnych splotów kobiety i zaczęły na dobre zapuszczać paluszki swe w tę piękną czarną gęstwinę.

Małgorzata porwała dziecko w objęcia i tuliąc do piersi wybuchnęła płaczem. Przykro się Wikcie zrobiło.

— Moja Małgosiu, rozerwać cię chciałam... tymczasem... ty... płaczesz... uspokój się... Bóg miłosierny...

— Oh! Wikta, Wikta! takie jedno maleńkie, taki jeden chłopczek, a byłby dla mnie świat! O, Boże, jaka ja biedna, nędzna, sama!... weź dziecko, odbierz mi... bo zduszę je z miłości, pragnienia, boleści!

— Ej, nie zdusisz, kochasz obu, prawda? baw się trochę, jak starsi będą, to ci dam czasem jednego, lub drugiego, weselej ci będzie...

Małgorzata chwiała głową i patrzyła na dzieci. Gramolić się zaczęły po łóżu, pełzać, przewracać, a tacy byli śmieszni obaj, tłusci, niezdarci w swem niemowlęctwie, nadzy prawie, bo w krótkich koszulinkach, że biedna kobieta przez łzy uśmiechać się musiała i uspokoiła się powoli. Na noc usłaly im obie guziazdeczka w dwóch rogach łóża, i dzieciaki nakarmione, ululane zasnęły głęboko. Wtedy siostry siadły przy sobie i Małgosia słuchała szczebiotu Wikty, która znów nieuważnie, zwyczajem szczęśliwych, opowiadała siostrze niedługie jeszcze a błogie dzieje swego małżeństwa. Jakaś woń sielska, trzeźwa, naturalna, jak woń dojrzałego zboża i lipy kwitnącej wiała ze słów młodej kobiety, która żyła cała na zewnątrz, miłością swego męża, uwielbieniem dla swych dzieci, zajęciami gospodarskimi wśród pięknej przyrody... Małgorzata słuchała jak błędna, jak w gorączce... Było to owo „nieznane szczęście“, o którym szeptał Mściśław? Ale to nie dla niej... jej los—zamkniętej żyć w tej twierdzy, i zamkniętej w sobie... w obwarowanej duszy tłumić bunt najprostszych pragnień... w odludnej siedzibie tłumić złe zachcianki lichy załogi...

— Małgosia! nie myśl ciągle... nie męcz się... nie zapadaj w siebie... nie możesz przecie tak marnieć... przyjdź do mnie... zobaczysz ludzi... świat... poweselejesz... ludzie wciąż pytają o ciebie...

— Nie, Wikta. Ja tu zostanę, ani mi mów o tem, żebym do ludzi szła... ludzie by mi życie utrudnili... a niełatwe-jest... oj nie...

— Wiesz, wrócił już niejeden z wyprawy... Król się tam miał rozhulać strasznie... sprzykrzyło się rycerzom... a ztąd wieści szły, że tu po domach słudzy się buntują... na kobiety nastają... opuścili króla niejedni rycerze, wrócili i mszają się na kmieciach... w naszej stronie cicho jeszcze dość, ale tam, koło Krakowa... Wiślicy... dzieją się złe rzeczy.

— Wiem o tem... i tu się zaczyna... — rzekła Małgorzata posępnie. Wstała i zaczęła chodzić po komnacie.

Wikta usnęła, dzieci spały spokojnie... Za oknami, wiosna szturmowała do zameczku; powoje przesłakiwały mury, wdrapwały się po ścianach baszty, ptaki nuciły pieśń miłosną, ciepłe tchnienia wpadały do izby, motyl lub pszczoła przysiadła na framudze i fruwała dalej... życie szło naprzód, rok za rokiem... Ognie Kupały płonęły, wśród nich namiętne wyznania kochanków, jesienią weselna muzyka napelniała złotawe powietrze, na wiosnę rodziły się dzieci, wszystko dążyło do celu pewnego, do szczęścia, do spokoju, do swobody, bo nawet te niepokojące ruchy gminne nie innego nie miały na celu jeno swobodę używania życia w całej pełni... Kobieta przystanąła... A ona? ona żadnego nie miała udziału w tej żywotnej fali... ona jak głaz leżała wśród prądu, prąd ją dochodził, laskotał jej serce, jej duszę, jej zmysły... i mijał... z biegiem czasu nowe się budziły w niej pragnienia, tęsknoty, potrzeby, a wśród tego niewidzialnego a bolesnego obłączenia serca ona stać musiała zimna i głucha jak owe żelazne słupy Chrobrego, naczynia, słowem, wysiłkiem granic swym uczuciom, myślom, słowom, krokom, oczom, całej istocie swojej... Bujny żywioł palił się w niej, falował, nurtował, wzbierał i opadał napowrót gorączką i smutkiem do serca... Myślała dawniej, że obrona zameczku, wrogów napady, dziwne zdarzenia, bohaterskie chwile napelniają jej życie i otaczają blaskiem jej wyjątkowe stanowisko... ale tak się nie stało... jednostajność zamknięcia, tęsknota, niepewność, drażniące utarczki ze służbą i codzienność ta sama samotność dumna i karcąca, to było treścią istotną jej losu, a życie pełne i prawdziwe płynęło tam, poza fosami, poza murami jej kamiennego gniazda... Wielki wróg szczęścia, — nieprzyjaciel spokoju — nuda, towarzyszył jej w ciemnych komnatach, w posępnych korytarzach i sieniach, patrzył ku niej z wiecznie tych samych twarzy sług, z każdego kąta tego gmachu, z tajemniczych kryjówek jej serca... To życie niby rycerskie a bez wrzawy podniosłej, bo tu nawet przeciwników nie miała godnych siebie, to bronienie się ciągle, drobniagowe, bez sławy, bez szturmów i bez tryumfów wielkich, zaczęło oblekać jej duszę w rodzaj szarej pleśni, wśród której promień słońca kona i gasną młodzieńczych uniesień polyski.

— Ach! — westchnęła, — ciężkie... złe czasy... bodajby walka jaka przyszła... bodajby siły wyteżyły, z serca ostatnią strzałę woli wyrzucić i piękną śmierć jaką znaleźć...

W dni niewiele potem, Wikta zabrała swe bliźnięta, oblane łzami siostry i wróciła do swego domu.

W zameczku znów panowała długa samotność... minęło lato, jesień, zima i wiosna, i znów jesień warzyła i kładła pokosom wojska ziół i kwiatów wspinające się po wałach do wnętrza...

Kobieta siedziała w oknie swej baszty i obojętnym wzrokiem patrzyła jak doliną włócił się jakiś podróżny z dużym tłumakiem na plecach. Widziała jak ku zamkowi zmierzał... jak do bramy pukał... jak mu Ścibor otwierał i gadał z nim... Cóż ją to mogło obchodzić! wiedziała, że król z głównym pocztym rycerzy już wrócił z wyprawy, wiedziała, że się tam wybierał z powrotem, wiedziała, że wielu wróciło do domów nie żadnych drugiej, moźolnej wyprawy, wiedziała, że do niej nie było posła, ani wieści, ani słychu... drżąca obawa o życie męża zamieniała się prawie w pewność, że zginął, nie wróci, a ona do śmierci kołatać będzie swoją biedną głowę w tajemnicę tego wypadku i pytać czasu, przestąpienia, wszystkich możebności, a odpowiedź: tak, czy nie? Tak już bywała niekiedy umęczona, że zdało jej się, iżby lepiej było w końcu dowiedzieć się najgorszych rzeczy, byleby wiedzieć raz i nie czuć wiecznie w piersiach rozszepionej duszy na dwa gryzące sidła: tak i nie... Bo jeśli żyw, czemu nie przyszły wieści, ona mu parę razy przez ludzi dawała znać o sobie, o swej tęsknocie i oczekiwaniu — jeśli żyw, a król wracał, wracali inni, czemuż i on nie przybył choć na krótko... choć na dzień jeden... Stary żołnierz, w wojennej sprawie pochłonię-

ty zapominał może powoli, że ma gdzieś żonę, zamkniętą w sobie, w ogólnych sprawach pograżoną, może nie śpieszył do niej... a może za króla przykładem, i on jako inni upoił się w złotej stolicy krasą pięknych kobiet... może... wszystko być może...

Małgorzata czuła, że to co dawniej gwałtownym płynęło niepokojem w jej sercu, teraz leniwie toczyło swe gorzkie męty, tworząc w jej duszy zastoje, mielizny, posępne trzęsawiska przeczuć i żalów...

W zniechęceniu ubolewała nad sobą, nad marnięjącym życiem... nad złamanymi marzeniami... nad swym poświęceniem może już niepotrzebnym, daremnym, nad własną jak jej się zdawało słabością, że właśnie to czuje co czuje, a czego czuć by nie chciała...

Podróżny rozłożył na dziedzińcu swe pudła, musiał to być kupiec wędrowny... może z placu boju szedł? Wstała nagle Małgorzata i zeszła na dół.

Kupiec był... ale z przeciwnej strony... Z Czech... z Pragi... podawał pani błyszczące drobiazgi... czarki cudne... kolorowe talerzyki... pudełeczka pięknie malowane... Zanurzyła Małgorzata wzrok w te błyszczące, wesołe, kolorowe przedmioty...

— Mój Boże! — westchnęła, — ileż to pięknych rzeczy szczęśliwi ludzie potrzebują!

Kupiec rozwinął z chust duże zwierciadło i wprost zatrzymał przed panią.

— Ach! — krzyknęła Małgosia. Dawno się nie widziała... małe lusterko stłukła jeszcze ongi Hanka szastając się po komnacie, skorupy wyrzucono, innego nie było... Ze dwa lata prawie nie oglądała swego oblicza piękna niewiasta, i oderwać oczu teraz nie mogła, taka się sobie samej wydawała teraz inna, dziwnie cudowna, w ośniewającej swej białości, z głębokimi oczami, z zarysem łagodnego cierpienia na ustach.

— Dawno się miłościwa pani nie widziała jaką jest... — rzekł przychylnie Ścibor i mimowoli ręce zatarł.

— Zmieniłam się... życie leci... jak widmo białam... — udawała poważnie pani.

— No... — bąknął stary sługa i nie śmiał nic dodać.

Kupiec zabierał się w drogę, wypuszczono go za bramę i już ją zamykać miał Ścibor, gdy na czarnym koniu, w pięknej zbroi, świetny rycerz sam się otrąbił donośnym rogiem na wałach.

Małgorzata stała w cieniach zamku, z głową spuszczoną; to lustro pokazało jej jaskrawie całą sprzeczność losu, całą niedolę jej przeznaczenia, przekwitania tak oto, jak róża na pustkowiu, nikomu na pociechę, sobie na zgryzotę, przez igraszkę wydarzeń; jak gwiazda nad morzem bezmiernem, nie świecąc nad głową nieczyją... paląc się tak sama w sobie... trawiąc się własną światłością... aż żużlem zastygnie... opadnie... bez wieści...

Zatętniał koń na moście... zatrzymał się u progu sieni... Pani się obejrzała.

— Zdenko!

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

W sezonie koncertowym r. b. wśród wielu występujących artystów, szczególniejsze wrażenie wywarł skrzypek francuzki p. Henryk Marteau, który się przedstawił jako wirtuoz pierwszorzędnej miary, obdarzony głębokim talentem. W grze pana Marteau łączy się wytworność interpretacji z wybornym wniknięciem w psychologię odtwarzanego przezeń kompozytora. Doskonali ten, choć jeszcze bardzo młody skrzypek (liczy 25 lat), dotąd u nas nieznany, wystąpił kilkakrotnie w Warszawie ze wzrastającym coraz więcej powodzeniem. Publiczność nasza

ocenila wybornie znakomitego artystę, który ma przed sobą długą karierę pełną blasku. Gra p. Marteau jest niepokalanie czysta, ton ma miękki i dziwnie miły, okrągły; technikę artysta posiada wykończoną do mistrzostwa; frazowanie jego inteligentne jest i subtelne, — w ogóle całe wykonanie nosi na sobie cechę wielkiego talentu. Między innymi p. Marteau wykonał u nas: koncerty: Brahmsa i Vieuxtemps'a, fugę Bacha, poloneza D dur, mazurka Wieniawskiego i t. d.; wraz z wybornym pianistą prof. Ursteinem wykonał sonatę Griega C moll. Pan Marteau koncertuje obecnie w Odessie, zkąd na d. 28 b. m. zjeżdża do Warszawy, będziemy więc mogli jeszcze do talentu tego powrócić, aby go dokładniej ocenić.

Koncerty symfoniczne, urządzone przez energicznego dyrektora p. Młynarskiego, wywalczyły sobie rzetelne u nas powodzenie. Na jednym z nich odegrano uwerturę „Flet zaczarowany“ Mozarta, symfonię H moll Schumanna, uwerturę do „Romea i Julii“ Czajkowskiego. Interpretacja wszystkich tych dzieł dowiodła talentu dyrektora i świadczyła o zakresie, jaki p. Młynarski swej działalności artystycznej w Warszawie objąć zamierza. Szczęść Boże! Na tym koncercie wystąpiła p. Jaczynowska, pianistka, która sobie u nas zjednała zasłużoną sympatię; utalentowana artystka odegrała bardzo ładnie koncert A moll Schumanna.

Dzielną naszą primadonna operowa p. Kruszelnicka, wzięła udział w koncercie symfonicznym i wykazała, że jest równie świetną śpiewaczką estradową, jak i sceniczną. Znakomita artystka między innymi odśpiewała śliczną „Kołysankę“ Młynarskiego i arję „Zbudzić się z uludnych snów“ z „Hrabiny“. Doznała przyjęcia entuzjastycznego. Słuchacze ze swą ulubienicą rozstać się po prostu nie chcieli.

Oddawna pragniemy podnieść na tem miejscu działalność Towarzystwa Muzycznego, które pod dyrekcją Zygmunta Noskowskiego stało się instytucją artystyczną szerokiego zakroju. Przed kilkunastu laty nasze Towarzystwo Muzyczne chyliło się do upadku, i kto wie co by się z niem stało, gdyby steru instytucji tej nie ujął w silną rękę energiczny dyrektor, a znakomity kompozytor. Zygmunt Noskowski dźwignął Towarzystwo, zabrał się do pracy niezmordowanej i doprowadził je do kwitnącego stanu. Byliśmy naoczniymi świadkami początkowych zabiegów dyrektora; patrzyliśmy na to, kiedy musiał wszystko z gruntu odnawiać. Niżej podpisany w owych latach, od 1882—1886 r., student uniwersytetu warszawskiego, uczęszczał na wykłady wieczorne zasad muzyki i na naukę śpiewu chóralnego. Dyrektor Noskowski ani na chwilę nie spoczął, pracował, działał, aż po wielu niczem niezachwianych usiłowaniach osiągnął to, czem się dziś pochlubić może.

Wieczory Towarzystwa Muzycznego, które w owych latach nieszczególnie się przedstawiały, — dziś ściągają tłumy słuchaczy i błyszczą najświetniejszymi nieraz talentami. Orkiestra, o której z początku niejednokrotnie dawały się słyszeć zdania ujemne, dziś zdobywa sobie coraz poważniejsze stanowisko, dzięki coraz subtelniejszemu wykonaniu trudnych kompozycji. Wreszcie dyrektor Noskowski wyćwiczył chór męzki zwany „Lira“, pełen zapału i świeżości. O „Lirze“ napiszę wkrótce o jej specjalnym koncercie, obecnym kilka słów poświęcając ostatnim wieczorom Towarzystwa.

Po zaprezentowaniu publiczności naszej świetnego wiedeńskiego „kwartetu Roségo“, który uwydatnia dokładnie wszelkie intencje odtwarzanych kompozytorów i subtelnie używa różnych efektów w interpretacji, Towarzystwo wystąpiło z kilku solistami, którzy przemówili do tłumów czarami najpiękniejszej muzyki. Między innymi słuchacze rozkoszowali się poetyczną grą na fortepianie Józefa Sliwińskiego; amatorowie prawdziwie szlachetnego śpiewu z zadowoleniem powitali występ na estradzie doskonałego basisty p. Juliana Jeromina, który posiada przepyszną metodę wokalną, głos przedziwnego brzmienia i włada nim po mistrzowsku.

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg)

XXIV.

Jenerałowie Czapscy.

Pierwszymi koryfeami tej społeczności prowincjonalnej byli dwaj bracia rodzeni i zarazem dwaj jenerałowie... Czapscy.

Jeden drugiego nienawidził od dzieciństwa. Utrzymywani w karbach przyzwoitej chociaż pozornej zgody przez wojewodzinę matkę, wstrzymującą do podeszłego prawie wieku synów ich burzliwy charakter. Po śmierci jej obywatela życzliwi temu starodawnemu i bogatemu w cnoty domowi, uskuteczniłi dość spokojnie działy rodzinne. Przy ukończeniu ich pozostała jedna niepodzielna bagatela—pierzynka karmazynowa kitajkowa zwaśniła tak silnie tych dwóch skąpych i chciwych bogaczy, że odtąd nadaremnie usiłowano przywrócić jedność braterską, chociażby tylko na to, aby nie gorszyć publiczności. Daremne były wszelkie usiłowania. Tymczasem w jednym obaj bracia mieszkali mieście, w tychże samych przebywali domach sąsiednich, byli więc plagą swobod towarzystwa. Jednakowe mając rangi, zdawało się, że szczególna łączność powinna ich zgódność i sympatya. Starszy żonaty, młodszy pozostał kawalerem i to w preteńsi aż do późnego wieku.

Pierwszy był wzrostu i postawy nakazującej, chociaż szczupły i zwiędłego oblicza. Wyprostowany, przesadny w ruchach ciała, nieruchomej fizjonomii, miał pozór dyplomatyczny.

Na tle tego wszystkiego spoczywało skąpstwo, którego żona i dzieci stały się ofiarą, bezprzykładna u Polaków taka niegościńność. Przejeżdżając się do obcych domów w odwiedziny i zaprosiny, wszędzie hojnie ugaszczany, — u siebie za ledwo — i to nie zawsze — ofiarował filiżankę kawy.

Ale ta godna ze wszech miar kobieta, Polka z uczucia i obyczajów, zrodzona z Radziwiłłówny, a tegoż nazwiska z domu co i za mężem, posiadała wszelkie przymioty obywatelki, przytłumione uległością małżeńską. Szkoda, że przy tym ucisku życie jej było krótkie, na czym zwłaszcza córka wielce ucierpiała.

Z niemałym podziwieniem towarzystwa Bielskiego, zaprosił był pewnego razu wszystkich na kotlety z zielonym groszkiem, wybornie przez kucharza, podług jego zapewnienia sporządzane.

— A to cud — szeptali sobie goszczący do ucha — to musi być w tem jakiś cel, kiedy się na taką zdobył wspaniałość!

— Aż mnie ciekawość bierze tej uczy.

— I mnie — i mnie — i mnie — odezwały się chórem głosy przechadzających się po pięknym ogrodzie bielskim, gdzie raz wraz obnoszono chłodzińki i nowalio rozmaite, a rozmowa toczyła się bez przerwy.

Zachodzą powozy — jedziemy. Na wstępie, kiedy się z gór otaczających zewsząd miasto. Bydgoszcz, powóz nagle spuszczał, stał natenczas dom dość okazały z facyatką, jak ołtarz, siedmiu wazonami garncearskiej roboty ozdobną. Był to tak nazwany pałac Czapskich; miał schodki dość wysokie na wstępie, okna dość duże. Wewnętrzne urządzenie nie różniło się od zwykłych domów: pokój wstępny nieco skromnie umeblowany, ale w szeregu kilku następnych nagromadzone kosztownych sprzętów tak ściśle, jakby w składzie mebli, galanterji, malowideł, a nawet jubilerskim zarazem. Skąpiec ten, chci-

wy na każdy grosz nabyty, miał upodobanie w zażytkach rodzinnych, bo duma jego w tych kosztownych fraszkach swój żywioł znalazła; kochała go przecież myśl, że to kapitał martwy — próżność procentowała go.

Ależ kotlety... Otóż było jeszcze za rychło...

— Przejdźmy się na szluzę — rzekł uprzejmy gospodarz.

Był to zakład niedawno przez rząd pruski uskuteczniiony, przyozdobiony bardzo miłą przechadzką, gdzie cały piękny świat bydgoski o tej porze zastać było można. Przyjęto propozycję, przechadzka długo trwała, goście mieli się ku odwrotowi, jenerał towarzyszył im. Wracamy wszyscy. Gospodarz oddalił się, umieściwszy gości. Po chwili wraca z pozornym kłopotem: kucharz zabrał mu się... klucz od spiżarni zgubiony... — kotlety spełzły. Zapewne już odtąd nikogo nie zapraszał.

Żona umarła, córka dorosła. Nie była piękna, ale bogata, a przy rysach dość regularnych, chociaż śniadej cery, gdyby jej fizjonomia ożywiona wyższymi wyobrażeniami, była nabrała wyrazu, figura ruchu, mogłaby być należeć do osób bardzo wydatnych.

Przy sposobności, po długim niewidzeniu odwiedzałam już mężatką dawnych znajomych z mego dzieciństwa. Zastałam pannę w grubym płóciennym, kraciastym, wcale nie starannie zrobionym szlafroku. Duże oczy jej czarne, acz młode, zgasłe martwością myśli, wznosiły się raz po raz ku niebu z westchnieniem. Była to widocznie ofiara.

Powiadano mi, że z tem swoim gorzej jak klauzurowem ułożeniem bywa czasem na prozonych wieczorach: natenczas ubiór jej z staroświeckich materji po matce lub babce niezgrabnie sklecony, okryty bywa brylantami i kosztownościami z taką przesadą, że ta panna z martwą swoją postacią i fizjonomią, wydaje się jak relikwia kościelna i wzbudza żal, jeżeli nieśmiech, co się nie przyczynia wcale do wesołej zabawy. W domu jej ojca, oprócz interesantów nie widzi nikogo, a wiek upływa; ale ze skolem ojca znajduje niezawodnie męża. Bogacz ten zostawi ogromną gotówkę, do której po wszystkie czasy bywają konkurencji.

Życzyłam z serca, aby jej wynagrodził niesmaki pierwszej młodości ten, który się uwadzi o chęć zyskania majątku — i tak się później stało. Ale niewola i odośrobnienie, w których żyła u ojca, zepsuły jej dobre imię, a dalsze życie dowiodło, że tylko mądra swoboda naprowadza na drogę cnoty i przyzwoitości. Syn wraz z majątkiem odziedziczył podobno skąpstwo ojca.

Młodszy jenerał niższego wzrostu, usiłował być ogładnym i przymilającym. Wynagradzał spustoszenia, jakie wiek przyniósł jego osobie, sztucznymi zębami, peruką, bielidłem, różem, perfumy owiewały tę postać wyschnutą, wywatowaną, z cerą do mumi podobną, a przecież codziennie galwanizowaną dla utrzymania iskry życia młodzieńczego.

Wstępny bojem pragnął zdobyć serca, a choć zgasłe oczy jego nic nie przemawiały, język płał się w starodawnych zapomnianych conceptach. On je codziennie odgrzewał, równo jak młodość swoją. Wszystkie te przyrządy kosmetyczne miały być wielką tajemnicą nawet dla własnego kamerdynera, ponieważ się odbywały przy zamkniętych okiennicach pod pawilonem. Ale gdy nie uszły jego baczności, kamerdyner — jak ów cyrulik króla Midasa — nie wdychnął ich w trzeźnię, ale w publiczność bydgoską, z kąd i do Bielic, a zatem i do mnie dziecka dziecięcego doszły. Jakże byłam uszczęśliwiona tą wiadomością! Czułam się wyższą od tego mniemanego pretendenta, który nie mogąc dotrzymać placu w rozmowie z pannami sędziankami czyli *contessami* Wierzchlejskimi, miał upodobanie drażnić się ze mną.

Na pewny dzień sprosili rodzice wielką kompanię, jak wtenczas zwano. Obydwaj jenerałowie Czapscy byli pomiędzy zaproszonymi, a ja

Również gorąco oklaskiwano na jednym z koncertów Towarzystwa muzycznego p. Zofię Konarską, której śpiew przemawia do duszy i chwyta za serce. Wyborna artystka jeszcze wszechstronniej się wokalnie rozwinęła i śpiewem wywiera silne wrażenie. Młoda wiolonczelistka p. Gromska, rozpoczynając zawód artystyczny, wykazała, iż przy pracy może się wyrobić na solistkę utalentowaną. P. Kleczyńska, o której śpiewie rozpisywaliśmy się już na tem miejscu, znowu przypomniła się publiczności naszej, interpretując bardzo ładnie kilka utworów. Pianista lwowski, p. Teodor Pollack, przedstawił się korzystnie, jakkolwiek gra artysty nie odznacza się uczuciem, natomiast technika uwydatnia zalety dobrego opracowania szczegółów.

Ostatnim razem słyszeliśmy na estradzie Towarzystwa muzycznego młodego pianistę, pana Maryana Dąbrowskiego, ucznia Leszetyckiego. Artystę pamiętamy z czasów, kiedy jako gimnazysta, pod okiem profesora Bylickiego w Krakowie, stawiał pierwsze kroki na polu muzycznym; dziś jest to już wirtuoz świadomy swych sił i mający jasną przed sobą przyszłość. P. Dąbrowski wykonał: Toccate i fugę D-moll Bacha, Melodyę Glucka, nokturn i scherzo H-moll Chopina, oraz rapsodyę Liszta, jednajac sobie pełne powodzenie.

Kiedy tak nasze Towarzystwo muzyczne świetnie się rozwija, zdala od Warszawy, w Lublinie, tworzy się nowe ognisko muzyczne, również Towarzystwo muzyczne. Inauguracja tego towarzystwa odbyła się w d. 4 b. m., wróżyć młodej instytucji przyszłość, pełną kwiatów. Członków Towarzystwo liczy już wiele; chóry ma wyrobione pod kierunkiem p. Gustawa Czernickiego bardzo dobrze; ma nawet orkiestrę. W koncercie wzięli udział: p. Konarska, p. G. Frieman, znany skrzypek, i prof. Urstein. Wieczór powiódł się jak niemożna lepiej.

Z pośród szeregu koncertów w ostatnich czasach szczególniejszy sukces miał koncert własny Aleksandra Michałowskiego w sali ratuszowej. Należy mu się szersze sprawozdanie. Na estradzie stanęli, oprócz benefisanta, „król skrzypków“ mistrz Stanisław Barcewicz, najznakomitszy wiolonczelista prof. Wierzbilłowicz i wszystkich solistów nieodstępny towarzysz — wirtuoz, prof. L. Urstein. Cóż się dziwić, że piękną salę ratuszową zapelnili tłumy?

Michałowski najchętniej gra Chopina, — ale jak go gra! Jestto deklamacja najpiękniejsza, najsubtelniejsza... Takby mistrz słowa deklamował Ujejskiego, albo Słowackiego, jak Michałowski gra Chopina: jest w tej grze uczucie, polot, siła, wyraz, natchnienie — wszystko.

Znakomity artysta wykonał: dwie Ballady G-moll i As-dur, pięć Etiud, Impromptu Fis-D, Mazurka F-moll, Poloneza As-dur, Nokturn G-moll, Walca Des-dur, Preludjum Des-dur i Kołysankę... Było to wykonanie przedziwne, czarujące — piękne.

Na skrzypcach „śpiewał“ Barcewicz — śpiewał i wyśpiewał Nokturn Chopina i Melodyę Paderewskiego.

Umyślnie z Petersburga przyjechał na koncert przyjaciela, znany wiolonczelista, prof. Wierzbilłowicz. Grał — a grając, wzruszał swym niebiańskim instrumentem. Wykonał sonatę wiolonczelową wraz z Michałowskim, „Piękne dni“ Poppera, „Träumerei“ Schumanna i „Moment muzyczny“ Schuberta. Zapał słuchaczy nie miał granic.

Koncerty kameralne są dopiero w początkach swego tegorocznego rozwoju; początki te jednak nie zachęcająco wypadły i wcale nie zadowolili słuchaczy. Może dalsze wieczory muzyki pokojowej więcej nastroczą materyału do uwag.

W operze wciąż w tryumfalnym pochodzie kroczy „Hrabina“ z p. Kruszelnicką; po niej zaś dopiero usiłują dotrzymać jej placu inne dzieła, interpretowane przez pp. Battistiniego, Russitana, p. Pacini etc. Jak się z tego wszystkiego wywiązują te siły — powiemy innym razem.

A. Dobrowolski

już miałam u siebie uczynione postanowienie odkrycia śmieszności młodszego w obec tylu obcych osób.

Na samym wstępie upatrzył grzebień świecący w mych włosach, a zbliżywszy się do małej panienki, wyjął i mocno utkwil w siatce swej peruki.

— Dobryś—myślę sobie — otóż cię już mam!

Cały dzień tak przeszedł. Niewiadomo mi było, że dzień ten poświęcony miał być zbliżeniu i pogodzeniu dwóch niechętnych braci, którzy ciągle stroniąc od siebie, nawzajem na siebie spojrzeć nie raczyli.

Nadszedł wieczór—chwila pojednania! Mężczyźni w pokoju wstępnym zasiedli wielkie koło. Młodszy z braci obrócony plecami do drzwi wchodowych, świecił moim grzebieniem i przypominał tym sposobem figla, na jaki się uwzięłam. W drugim pokoju zebrane były damy w ścisłem kole i szeptały cicho: zapewne były ciekawe wypadku tej sceny. Ale chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi — nie spodziewały się takiego zakończenia. Widząc wszystkich mocno zajętych, skradam się za krzesło mej ofiary, chwytam za grzebień, ściagam go na dół... peruka zawisła jak kapturek na kołnierzu, głowa była odkryta się, grzebień pozostał w peruce, ja uciekłam, a wychodząc, słyszę rozsuwające się z łoskotem krzesła mężczyzn. Przebiegając sennie, słyszę krzykliwy śmiech dam... Mężczyźni rozbiegli się, —nuż radzić o tem, kto mnie namówił, ponieważ o nic mniej nie chodziło, jak o pojedynek pomiędzy braćmi. Zawstydzony domyslał się, że to ja z jego brata namowy spletałam tę psotę.

Jeszcze widzę dotąd ojca mego pomięsanego, jak wchodzi do panińskiego pokoju, gdzie byłam, zasmucony a poważny.

— Kto ciebie namówił—rzecze—do zrzucenia peruki Czapskiemu?

— Mnie? — nikt... To się nieumyślnie stało, chciałam tylko grzebień mój odzyskać.

— Nie wierzę temu—powiada—jak mnie kochasz, prawda!

— Otóż prawda, że mnie nikt nie namówił, ale pan Zakrzewski opowiadał nam, jak się jenerał kryje z peruką i piękniadłami, a ja tego znieść nie mogłam i już dawno uwzięłam się na to, żeby mu umniejszyć trudności zachowania tajemnicy, o której wszyscy wiedzą.

— Bardzo źle uczyniłaś... zamiast zgody, której pragnąłem, może być pojedynek, przeto masz natychmiast iść przeprosić jenerała.

Rozplakałam się ze wstydu i żalu, żem ojcu się sprzeciwiła niewczesnym żarciem i błagałam, żeby mnie nie przywoływał gdzie goście są, ale nadaremnie. Z rąk jenerała musiałam odebrać grzebień nieszczęsny, z bardzo grzecznym komplementem. Uczułam całą niedorzeczność mego postępcu, a bracia jak dawniej nienawidzili się serdecznie.

(dalszy ciąg nastąpi).

Kronika działalności kobiecej.

— W ostatnich dniach Listopada odbyły się w „delegacji pracy kobiet“ przy Warszawskim oddziale Tow. popierania rosyjskiego przemysłu

i handlu dwa posiedzenia dotyczące obecnego stanu gospodarstwa i przemysłu kobiecego, a w posiedzeniach tych wzięło udział liczne grono pań miejscowych i przybyłych ze wsi. Przewodniczyła pani Reinschmit-Kuczalska, sekretarką posiedzenia była p. Józefa Bojanowska, a między uczestniczkami znajdowały się słynne już ze swej pracy gospodarczej panie: J. Kleniewska, Rościszewska, hr. Platerówna, Majlertowa i Gwidowa, które w swych gospodarstwach lub zakładach wychowawczo-gospodarskich dały już dowód znajomości przedmiotu i zasługi wytrwania. P. Rościszewska w zajmującej przemowie zaznaczyła wspólność interesów mieszkanki wsi i miasta, a głównie zastanawiała się nad palącą potrzebą wszędzie lepszej kobiecej służby, czemu zadość by uczynić mogła specjalna szkoła kucharek, pokojówek i praczek. Tę samą potrzebę zaznaczyliśmy niedawno w „Bluszczu“ odwołując się do kobiet o gorliwsze zajęcie się tą potrzebą. Bliższe zbadanie tej kwestyi poleceno osobnej komisyi, która ma wypracować stosowny referat omawiający warunki praktycznej szkoły kucharskiej. Dalej toczyły się dość długie rozprawy nad szkołami niższymi i wyższymi gospodarstwa dla kobiet oraz nad rodzajami i warunkami ich praktyki gospodarskiej. Ułożono nakoniec zjazdy, podobne przy najmniej cztery razy do roku a mianowicie: na koniec Września gdy w Muzeum odbywają się wykłady popularne, dotyczące wyrobu przetworów owocowych. Na posiedzeniu tem dały zebrane panie duże dowody doświadczenia w dziedzinie kobiecego gospodarstwa i warunków ogólnej pracy niewieściej. Szkoda tylko, że ani jednej z pań na myśl nie przyszło, dać szczegółowe sprawozdanie z obrad powyższych do pisma naszego sprawie kobiecej poświęconego i szczerze zajmującego się każdym objawem pracy, działalności i rozwoju kobiecej sprawy na każdym polu. Dla czytelniczek pisma naszego mianowicie wieśniaczek, byłoby takie sprawozdanie przez uczestniczkę posiedzenia napisane bardzo i pożytecznem i zajmującym.

— W Norwegii mianowaną została w tym roku przewodniczącą w szkolnej radzie nadzorczej w Olso panna Anna Mossewig. W tymże kraju 156 kobiet ma zajęcie przy urzędach pocztowych. Między niemi są dwie poczmistrzami, dwie w zarządzie pocztowym, 20 jest pełnomocniczkami w departamentach i asystentkami w biurach większych wiosek, reszta jest roznościelkami listów.

— Panna Jenny Flood, córka kalifornijskiego milionera zmarłego w 1889 r. w Heidelbergu, darowała uniwersytetowi w Kalifornii wspaniały pałac który zamieszkiwali dawniej jej rodzice oraz majątek ziemski w wartości trzech milionów dolarów, pragnąc w ten sposób uczcić pamięć swojego ojca. Tym pięknym i hojnym czynem utrwaliła zarazem i własne wspomnienie.

— P. Anna Bernau wydała zajmującą broszurę dotyczącą sprawy niewieściej p. t. „Unge-reimtes aus dem Frauenleben.“ Treść jest następująca: Zakazana wiedza, Wzbroniony oręż (do walki.) Młodość i starość. Stanowisko małżeństwa. Podaż pracy i popyt: (Berlin, nakład Dümmler a 60 fen) O książeczce tej pomówimy obszerniej w przyszłości, gdyż niejeden się w niej mieści prawdziwe i jędrnie wypowiedziane.

— Panna Ludwika Godlewska, pisząca pod pseudonimem „Exterus“, autorka prac powieściowych „Po zdrowie“ i „Kato“, dostała pierwszą nagrodę 500 rb. za utwór swój pod tytułem „Dobre pary“ na konkursie powieściowym, ogłoszonym przez redakcyę „Głosu.“

— W Sztokholmie uznała najwyższa władza za konieczne wprowadzenie do szkół ludowych nauki gospodarstwa domowego i przeznaczyła na wynagrodzenie ośmiu nauczycielek tego przedmiotu sumę 4800 koron, włączając ją do budżetu szkolnego za rok 1899. Także na polu aptekarstwa otwiera się w Szwecyi duże pole do pracy dla kobiet, gdyż wiel u aptekarzy zgłasza się do komisji odnośnej w Sztokholmie o pomocników-kobiety, ofiarując im równe wynagrodzenie, jak męskim swym pomocnikom.

Do dzisiejszego numeru dołącza się prospekt gazety „Wiek.“

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: arkusz 2 i 3 powieści, p. t. *Adolf Ribbing*, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S.

OD WYDAWCY.

„Bluszcza“ w przyszłym roku wychodzić będzie pod dotychczasowymi warunkami.

Szanownym prenumeratom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce numerów.

Treść: Książki gwiazdkowe dla młodzieży, przez Szczęsną. — Przy kominku (Pogawędka), przez ?? — Z jesiennych wrażeń, przez Władysława Nawrockiego. — Biała baszta, nowella, przez Szczęsną (dalszy ciąg). — Ruch muzyczny, przez A. Dobrowolskiego. — Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg). — **Kronika działalności kobiecej.**

Dodatek obejmuje: *Adolf Ribbing*, powieść, przez M. E. Coleridge. Przekład z angielskiego Z. S. arkusz 2 i 3. — Przegląd mód. 24 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycje obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Kraków. — Przedmieście Nr. 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 2 Декабря 1898 г.